

Nic o nas bez nas

Rozmowa

z prof. dr. hab. Włodzimierzem Boleckim

Postscriptum: *Konkluzja zorganizowanego siedem lat temu w Krakowie Zjazdu Polonistów brzmiała: reorganizacja polonistyki jest konieczna. Jednym z zadań, jakie miały stanąć przed jego uczestnikami, powinno być zastanowienie się nad kierunkiem, w którym należy podążyć, by polonistyka nie pozostawała w tyle, by nie była anachroniczna. A jakie konstatacje nasuwają się po tegorocznym Zjeździe? Co się zmieniło na lepsze lub gorsze? I jak dalej, Pana Profesora zdaniem, ona „przebudowa” powinna wyglądać?*

Włodzimierz Bolecki: To pytanie do organizatorów tamtego Zjazdu, który był przecież pomysłem tematycznym grupy polonistów oraz Komitetu Nauk o Literaturze. Ja mogę odpowiedzieć na nieco inne pytanie: czy pomiędzy Zjazdem w Krakowie a dniem dzisiejszym w polonistyce zaszły zasadnicze zmiany? Pamięając, że przez polonistykę można rozumieć różne rzeczy: na przykład dyscyplinę o coraz szerszym zakresie (filologia polska, literaturoznawstwo, wiedza o kulturze, teatrologia i in.), kierunek uniwersytecki (rozumiany jako zbiór przedmiotów polonistycznych wykładanych na uniwersytetach) albo wielokształtną, reprezentatywną część humanistyki, odpowiedziałbym następująco. W polonistyce jako dyscyplinie zachodzą naturalne zmiany generacyjne. Co kilka lat znaczną część aktywności polonistycznych przejmuje nowe pokolenie i siłą rzeczy ciężar badań polonistycznych zaczyna się przesuwac zawsze w kierunku zainteresowań pokolenia wstępującego. Ale, w moim przekonaniu, żadne zasadnicze zmiany w obrębie samej dyscypliny nie miały miejsca, bo okres, o który Pani pyta, był zbyt krótki. W dłuższej perspektywie – tak, ale to inny temat. Zjazd krakowski był przygotowany jako próba odejścia od problematyki historycznoliterackiej. Chodziło

o uzasadnienie tezy, że problematyka historyczna i historycznoliteracka nie znajduje się już w centrum literaturoznawstwa, które teraz rozwija się jako część zagadnień antropologicznych, kulturowych, społecznych, a tradycyjne badania historycznoliterackie straciły na znaczeniu. Jeśli przyjąć taki punkt odniesienia, to wydaje się, że nasza dyscyplina miała inne zdanie. W moim przekonaniu mamy do czynienia ze stałym pogłębianiem problematyki historycznej i historycznoliterackiej jakkolwiek z zastosowaniem nowych i bardzo zróżnicowanych narzędzi badawczych. Jednym słowem, te zagadnienia, które były dosyć radykalnie kwestionowane, pozostały w centrum zainteresowania zarówno dyscypliny, jak i polonistów. Mam na myśli opublikowane w ostatnich latach liczne prace polonistyczne oraz te, które czytałem, i które teraz są przygotowywane do druku. Żadna z nich nie wskazuje na to, żeby historia literatury nagle znikła. Inaczej się ją dziś uprawia, co jest naturalne i konieczne, ale w dalszym ciągu, jak mawiał Kazimierz Wyka, to jest węgiel naszego zawodu.

PS: *Jakie zagrożenia i jakie perspektywy rozwojowe mogą wyniknąć dla polonistyki w związku z proponowanymi przez Ministerstwo przekształceniami naukowo-dydaktyczno-logistycznymi?*

W.B.: Pisałem o tym kilkakrotnie. Przede wszystkim razem z dwojgiem humanistów innych specjalności (prof. Ewą Dahlig-Turek – muzykologiem oraz prof. Przemysławem Urbańczykiem – archeologiem) w artykule dotyczącym warsztatu humanisty, opublikowanym w połowie 2009 roku w „Forum Akademickim” [*Humanistyka a reforma polskiej nauki*. „Forum Akademickie” 2009, nr 5 lub: www.bolecki.eu/sites/default/files/ckc_attachment/humanistyka.pdf – przyp. red.]. W tym tekście twierdzimy, że reforma nauki, którą wprowadziło Ministerstwo Nauki, stanowi dla humanistyki ogromną szansę – po dwudziestu latach kompletnej inercji w sferze szkolnictwa wyższego i organizacji badań naukowych, których przecież nie reformowano w III RP, w przeciwieństwie do innych sektorów życia publicznego. To, że humaniści potraktowali projekty, a dzisiaj już gotowe ustawy, przede wszystkim jako zagrożenie, świadczy o tym, że nie rozumieją ani celu tych ustaw, ani na czym polegają zmiany w obrębie szkolnictwa wyższego w Unii Europejskiej. Bo reforma nauki wprowadzana właśnie w Polsce jest ich częścią. Świadczy to też o typowym dla naszego środowiska odruchu bezwzględnej krytycyzmu, a nawet sprowadzania do absurdu czegoś, w czym się praktycznie – to znaczy w reformowaniu nauki – nie uczestniczyło. Świadczy to również, i to jest najsmutniejsze – o wyizolowaniu środowiska polonistycznego z dyskusji

na temat koniecznych reform w sektorze szkolnictwa wyższego i nauki, które w ostatnich latach toczono we wszystkich innych dziedzinach. Inaczej mówiąc, jeśli te reformy są publicznie żywo dyskutowane, to poloniści w tej publicznej dyskusji nie biorą udziału, zadowolając się permanentną kontestacją we własnym gronie. Wynikałoby z tego, że środowisko polonistyczne jest... skrajnie konserwatywne, albowiem jest przeciwne zmianom – szczególnie tam, gdzie są one głęboko uzasadnione i po prostu niezbędne. Otóż te zmiany były konieczne ze względu na niezmienny w Polsce po 1989 roku postsocjalistyczny model finansowania i zarządzania nauką i wprowadziły reguły (a przynajmniej idą w tym kierunku), które od dawna obowiązują w krajach tzw. starej UE, czyli w państwach, w których nauka liczy się w skali światowej. W moim najgłębszym przekonaniu właśnie te zmiany stworzyły dla humanistyki (w tym także dla polonistyki) ogromną szansę, czego najprostszym przykładem jest – co chcę podkreślić – błyskawiczne powstanie proponowanego przez nas we wspomnianym artykule funduszu dla humanistyki, który został nazwany – patetycznie i jak dotąd bez pokrycia – Narodowym Programem Rozwoju Humanistyki. Ale bez potężnego impulsu reformatorskiego w nauce ogóle nie byłoby mowy o takim funduszu. Dzięki NPRH do humanistyki (w tym – do polonistyki) wpłynęło kilkadziesiąt milionów złotych.

PS: *Czy nie jest tak, że obawy biorą się z tego, że z jednej strony jest Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, a z drugiej – ustawa ministerialna dotycząca niesprawiedliwej dla polonistów punktacji?*

W.B.: To są różne sprawy. Pakiet reform składa się z kilkudziesięciu rozmaitych elementów i jednym z nich – niesłuchanie ważnym – jest oczywiście ocena dorobku naukowego. Do tej pory w ocenie parametrycznej nie było wyodrębnionej osobnej kategorii badań, należących do obszaru, który trzeba nazwać wprost i dobitnie, to znaczy do filologii narodowej, czyli badań poświęconych językowi i kulturze narodowej. Dlaczego tak było, nie wiem. W związku z tym poprzednie systemy parametryzacji, czyli punktowej oceny dorobku instytutów i pracowników, były sprowadzane do jednego algorytmu wyprowadzanego z potrzeb, z praktyki i z kryteriów oceny typowych dla nauk empirycznych i eksperymentalnych, ale niedostosowanych do osobliwości humanistyki i części nauk społecznych. Pierwsze pytanie, które tu trzeba sobie postawić, brzmi zatem następująco: dlaczego wcześniej ta parametryzacja w ogóle nie uwzględniała specyfiki nauk humanistycznych, mimo że przedstawiciele nauk humanistycznych są obecni we wszystkich

cialach przedstawicielskich (a jest ich co najmniej kilkanaście) ustawowo zobowiązanych do opiniowania wszystkich projektów aktów prawnych dotyczących nauki? Może to świadczyć, że środowisko humanistyczne (polonistyczne) jest w tym zakresie niezainteresowane regulami zarządzania nauką, niezorganizowane wokół wspólnych potrzeb zawodowych, a przede wszystkim, że nie traktowało poważnie dyskusji i działań, których efektem były akty normatywne decydujące o funkcjonowaniu nauki w Polsce. Kilka lat temu, gdy pojawiły się pierwsze propozycje nowej oceny parametrycznej, w których nie tylko nie uwzględniono, ale nawet całkowicie zdeprecjonowano specyfikę badań nad kulturą narodową, zorganizowałem z profesorem R. Nyczem i innymi kolegami filologami akcję postulującą uwzględnienie w ocenie parametrycznej specyfiki takich badań. W tamtym proteście wzięły udział różne ciała, m.in. rady naukowe, ale nieliczne (np. rada naukowa mojego instytutu nie zabrała głosu w tej sprawie), więc w sumie były to głosy pojedynczych instytucji, a nie całego środowiska. Ale w wyniku tych działań problem został nagłośniony i środowisko naukowe zrozumiało, że niemożliwa jest ocena wszystkich dziedzin i dyscyplin naukowych według kryteriów specyficznych tylko dla części tych dziedzin. Kryteria powinny być zróżnicowane, uwzględniające specyfikę dziedzinową, np. w jednych naukach pisze się wyłącznie artykuły, a w innych liczą się monografie, w jednych język jako medium nie ma żadnego znaczenia (nauki ścisłe, o życiu itp.), w innych (humanistyka) ma znaczenie podstawowe itd. Dzięki temu w obrębie nowo powstałego Komitetu Ewaluacji Jednostek Naukowych, który formułuje ogólne zasady parametrycznej oceny instytucji naukowych, powstał zespół zajmujący się wyłącznie naukami humanistycznymi, społecznymi i naukami o sztuce. Czyli zasady parametryzacji będziemy mieli takie, jakie zatwierdzi ten zespół. Jeżeli nam coś w sposobie punktowania naszego dorobku nie będzie odpowiadać, to pretensje należy kierować nie do anonimowych urzędników Ministerstwa, ale do przedstawicieli naszego środowiska – o to, że nie potrafili przekonać Ministerstwa do specyfiki naszej dyscypliny. Tak sprawa wygląda od strony pragmatycznej.

Natomiast, jeżeli miałbym tłumaczyć niechęć naszego środowiska do oceny parametrycznej, z którą mamy do czynienia w obecnych założeniach reformy nauki, to ująłbym to w kilku punktach. W badaniach humanistycznych (w tym w polonistycznych) nasze środowisko twierdzi, że wszystko, co robimy, jest bezcenne, ponieważ zajmujemy się kulturą narodową. I ja też tak uważam. Ale do tego trzeba umieć przekonać tzw. decydentów, ponieważ z punktu widzenia nauki jako całości liczą się tylko najważniejsze osiągnięcia

i publikacje. Najważniejsze to znaczy najlepsze. Nie wszystko bowiem, co zostanie wyprodukowane na uniwersytetach czy w instytucjach naukowych, zasługuje na najwyższą ocenę. Z jednej strony mamy rygorystycznie przestrzegane kryterium jakościowe, z drugiej natomiast – akceptację dla kryterium ilościowego. W nauce, a proszę pamiętać, że reforma nie jest reformą polonistyki (*sic!*), tylko nauki jako całości, chodzi o wypracowanie standardów obowiązujących we wszystkich dziedzinach i dyscyplinach. Podstawowe pytanie o ocenę pracy naukowej to pytanie o jej jakość. Jakość polskiej nauki we wszystkich dziedzinach jest bardzo zróżnicowana. W związku z tym takie pytanie nie jest – mówiąc eufemistycznie – dotkliwe jedynie dla polonistów, ale także dla przedstawicieli innych dziedzin i dyscyplin czy związanych z nimi instytucji. Jednak pytanie o jakość jest faktycznie pytaniem o kryteria jej oceny. W naukach innych niż humanistyczne te kryteria są dość precyzyjne i proste, by nie powiedzieć: banalnie, sformułowane, bo to są kryteria bibliometryczne, policzalne, wskaźnikowe. Zależą od miejsca publikacji, od obecności publikacji w obiegu międzynarodowym – czyli w języku angielskim, bo poza humanistyką i naukami społecznymi nauka jest praktycznie angielskojęzyczna. Te kryteria dotyczą także różnych wskaźników bibliometrycznych w rodzaju *impact factor*, indeksu cytowań, indeksu Hirscha i in. Wypracowanie takich kryteriów w naukach humanistycznych jest, moim zdaniem, niemożliwe, a co najmniej bardzo skomplikowane, niemniej trwają sensowne próby stworzenia analogicznych instrumentów bardziej zobiektywizowanych „wskaźników jakości” prac w naszej dziedzinie – to znaczy wskaźników innych niż tylko opinie recenzentów. A to oczywiście jest konieczne, bo ocena jakości czy wartości w każdej dyscyplinie nauki może być tylko wynikiem porównywania. Tymczasem humaniści, a na pewno poloniści, nie chcą spojrzeć na swoje prace jak na obszar osiągnięć, których jakość trzeba porównywać z innymi, zatem – zobiektywizować. Obiektywizację uderzają bowiem w praktyki publikacyjne, do jakich byliśmy przez dziesięciolecia przyzwyczajeni i w których wychowało się wielu z nas, m.in. moje pokolenie. Zasada w humanistyce była następująca: publikować jak najwięcej i gdziekolwiek. Tu muszę Pani przypomnieć, że do 1990 roku wszystkie publikacje w Polsce były cenzurowane, więc ważny był sam fakt opublikowania jakiejś interpretacji, edycji, analiz itp., a nie to, w jakim wydawnictwie to zrobiono. Ale te czasy dawno już minęły. Zasada, która obowiązuje w naukach empirycznych, jest dokładnie odwrotna: publikować należy tylko w najważniejszych dla danej dyscypliny wydawnictwach i czasopismach. Tego kryterium nie da się mechanicznie ujednoczyć, ale można utworzyć

pewną skalę. W obrębie publikacji humanistycznych i polonistycznych można wyodrębnić wydawnictwa i czasopisma najważniejsze, ważne, mało ważne i nieistotne. Po drugie, jest to też kwestia uczestniczenia w międzynarodowym obiegu naukowym, czyli kwestia konieczności publikowania w językach kongresowych. Poloniści, wbrew temu, co się potocznie uważa, robią to na całkiem dużą skalę. Za wymogiem publikacji w językach kongresowych idzie przekonanie, że te prace, które zostały zakwalifikowane do wydania na Zachodzie, przeszły dodatkową próbę oceny, co jeszcze bardziej obiektywizuje spojrzenie na ich wartość. I o tym także pisaliśmy we wspomnianym artykule. W tej chwili jest tak, że poloniści i humaniści mogą w Polsce decydować sami o sobie. Kształt tych zapisów ustawowych, które dotyczą humanistyki, jakkolwiek są one częścią większej całości, zależy od przedstawicieli naszego środowiska delegowanych do gremiów przygotowujących, tj. poprawiających i zgłaszających swoje postulaty Ministerstwu. Po raz pierwszy od dwudziestu lat możemy powiedzieć: nic o nas bez nas. A co potrafimy, to się okaże po owocach działalności naszych przedstawicieli.

PS: *Jedną ze zmian jest nowa procedura habilitacyjna.*

W.B.: Habilitacja była pierwszym przedmiotem sporu. Gdy pojawiły się informacje o projekcie reformy, atak środowiska naukowego (a humaniści byli w pierwszym szeregu) poszedł w kierunku kwestionowania zmian dotyczących przeprowadzania habilitacji, chociaż w reformie nauki nie była to i nie jest sprawa najważniejsza. Żeby było śmieszniej – argumenty krytyków tego projektu publikujących w „Gazecie Wyborczej” i w „Naszym Dzienniku” były identyczne. Po uchwaleniu ustaw, zmiany sprowadzają się do kilku rzeczy. Po pierwsze, w starym systemie to rada wydziału czy rada naukowa danej jednostki przeprowadzała kolokwium. W nowym systemie kolokwium habilitacyjne przeprowadza siedmioosobowa komisja ekspercka, którą wyznacza Centralna Komisja. Po drugie, w nowym systemie jednostką przeprowadzającą habilitację nie może być jednostka macierzysta, w której pracuje habilitant/ka, ale rada naukowa innej jednostki, wskazana przez tę osobę. Procedura habilitacyjna może się zakończyć w ten sposób, że osoba, która wystąpiła o przeprowadzenie habilitacji, dostaje zawiadomienie o otrzymaniu tytułu doktora habilitowanego na podstawie analizy publikacji przeprowadzonej przez ekspertów. To są te główne zmiany. Jest jeszcze kilka innych szczegółów, ale nie będę ich tutaj wymieniać. Istotne jest bowiem to, co stoi za tą koncepcją – jaki jest jej cel? Po pierwsze, chodzi o to, żeby przyspieszyć kariery naukowe młodych osób we wszystkich dziedzinach

nauki. Polska nauka jest strasznie stara, ponieważ drogi kariery młodych ludzi są blokowane przez różne czynniki, do których należy m.in. wydłużona, zbiurokratyzowana procedura habilitacyjna. Przy czym przez biurokratyzację rozumiem zjawisko, które, jak sądzę, w ogóle nie dotyczy środowiska polonistycznego, to znaczy blokowania habilitacji młodych ludzi po to, żeby nie stali się konkurencją dla starszych pracowników. Tu wprowadzono zasadniczą zmianę. Mianowicie żadna dyrekcja, żadne ciała administracyjne nie mogą w tej chwili decydować, czy komuś otworzyć przewód habilitacyjny, czy nie. Przewód habilitacyjny otwiera się na wniosek osoby zainteresowanej, która jest przekonana, że jej dorobek spełnia ustawowe warunki otrzymania tytułu doktora habilitowanego. Jest to niewątpliwym postępem. Brałem udział w niezliczonej liczbie rozmaitych kolokwium i muszę powiedzieć, że odbywanie kolokwium przed radą wydziału czy radą naukową uważam za pozbawione sensu. Nigdy w ciągu kilkudziesięciu lat mojej aktywności zawodowej nie zetknąłem się z sytuacją, w której cała rada naukowa byłaby zainteresowana przebiegiem i tematem habilitacji oraz gdy większość rady byłaby świadoma rzeczy, nie mówiąc o znajomości publikacji habilitanta. W związku z tym przebieg habilitacji sprowadzał się do gry pomiędzy opiniami recenzentów a nastawieniem pozostałych członków rady naukowej, którzy prawie nigdy nie głosowali na podstawie własnej opinii (bo najczęściej jej nie mieli), ale na podstawie zaufania do kogoś, kto był dla nich w tej radzie autorytetem. Dlatego uważam, że znacznie lepszym rozwiązaniem jest, kiedy między habilitantem a komisją, która przeprowadza kolokwium habilitacyjne, istnieje relacja partnerska, tzn. wszyscy są specjalistami, wszyscy są zobowiązani znać dorobek habilitanta, wszyscy są zobowiązani do zadawania mu pytań i wszyscy są przygotowani na to, żeby podjąć z nim rozmowę. To jest zasadnicza różnica merytoryczna. Paradoksalnie – nikt nie zwrócił uwagi, że model kolokwium habilitacyjnego przypomina sposób przeprowadzania egzaminów doktorskich, gdzie w komisji siedzą wyłącznie specjaliści. Wróćmy jeszcze do jednej kwestii. Jeśli – w starym systemie – kolokwium odbywa się przed macierzystą radą wydziału habilitanta, to bardzo dużą rolę w decyzji o przyznaniu stopnia odgrywają sympatie i animozje. Postawa koleżeńskiej życzliwości lub personalne niesnaski. A czynniki personalne deformują obiektywną ocenę dorobku czy odpowiedzi kandydata. W naszym środowisku ogromną rolę odgrywała i odgrywa postawa koleżeńskiej życzliwości. Z mojego doświadczenia wynika, że była to powszechna praktyka podczas kolokwium habilitacyjnych. Z wiadomym skutkiem. Nie ma, oczywiście, i być nie może, idealnej zasady i warunków obiektywności,

ale pewne warunki obiektywności bardziej sprzyjają wyważonej ocenie, a inne mniej. Sytuacja, w której trzeba przekonać o swoich osiągnięciach ludzi, z którymi się na co dzień nie współpracuje i którzy nie mają koleżeńskich zobowiązań wobec habilitanta/ki, stwarza niewątpliwie większe przesłanki obiektywności niż sytuacja, w której o przyszłości naukowej danej osoby mają decydować najbliżsi koledzy i koleżanki. To także dotyczy ustawowej decyzji o przesunięciu miejsca habilitacji. Jeśli te przesłanki, a zarazem cele, które ma spełnić habilitacja, uważane są za gorsze niż te, które obowiązywały poprzednio, to mamy do czynienia z fundamentalną różnicą w rozumieniu nowoczesnych kryteriów oceny dorobku naukowego, a przy okazji różnicą w diagnozowaniu negatywnych zjawisk w polskiej nauce. Chyba że ktoś ich nie widzi. Inna sprawa – nasze środowisko na przykład żałuje, że nie ma wykładu habilitacyjnego. Jestem jego zwolennikiem, ale trzeba pamiętać, że zasady, które są formułowane w przepisach, są formułowane dla wszystkich dyscyplin. Ustawa, co prawda, nie mówi o obowiązkowym wykładzie, ale rada, która przyjmuje na siebie obowiązek przeprowadzenia procedury habilitacyjnej, może zażyczyć sobie takiego wykładu po pozytywnym zaopiniowaniu przez ekspertów dorobku habilitanta. Może to być nawet nieregulowanym przez ustawę zwyczajem konkretnej rady – nikt tego nie zabrania.

PS: *Czy można mówić, że polonistyka jest jeszcze „przestrzeżeniem wolnego myślenia”, skoro wyżej stawia się walkę o punkty niż prowadzenie rzetelnych, wieloletnich badań? W jaki sposób można dziś zachęcać młodych naukowców do podejmowania badań polonistycznych?*

W.B.: Zachęcić można tylko poprzez jakość. Młodzi ludzie są zawsze najbardziej aktywną, najbardziej chłonną, najbardziej otwartą grupą społeczną – a zwłaszcza studenci i młodzi badacze. Jeżeli filologia narodowa, jakkolwiek by ją definiować, będzie uznawana przez studentów za kierunek intelektualnie i zawodowo atrakcyjny, za kierunek na bardzo wysokim poziomie, za kierunek, który pozwala im rozumieć nie tylko kulturę własnego kraju, ale kulturę w ogóle, a co więcej, pozwala im po skończeniu studiów znaleźć dobrą pracę i mieć poczucie dobrego przygotowania do życia zawodowego, to wówczas takie studia będą chętnie podejmowane. Myślę, że dokładnie to samo można powiedzieć o każdym innym kierunku. Przede wszystkim należy uważnie obserwować, jak się tworzy najbardziej atrakcyjne dyscypliny kształcenia uniwersyteckiego i uczyć się od najlepszych. Do tego jeszcze musi być spełniony warunek podstawowy – na uczelni powinni pracować

najlepsi specjaliści. Tym samym nacisk musi być położony na kształcenie młodych badaczy. To przecież oczywiste, że student chętniej pójdzie na zajęcia wykładowcy, którego uważa za znakomitego specjalistę i którego zajęcia go rozwijają, są interesujące, zapewniają mu kontakt z tym, co w danej dyscyplinie jest najważniejsze – niż na zajęcia, po których zastanawia się, po co mu to wszystko, skoro poruszana problematyka jest poznawczo jałowa, a wykładowca nie potrafi uzasadnić, czym się zajmuje. Zawsze trzeba brać pod uwagę, że nie wszyscy studenci palają pasją poznawczą, ale studenci są tacy, jacy zostali na dany wydział przyjęci – a sięgając głębiej, jakich przygotowała szkoła (przypomina się Andrzej Frycz Modrzewski). To zresztą jest kolejna sprawa związana z nową sytuacją, z którą żaden uniwersytet w Polsce jeszcze sobie nie poradził. Chodzi o umasowienie kształcenia. Weszliśmy gwałtownie w okres kształcenia masowego, w którego obrębie zderzają się dwie wykluczające się tendencje: to, co masowe i nastawione na edukację ilościową, nawet za cenę obniżenia poziomu, z tym, co elitarne i nastawione na jakość, przygotowujące elity do wyspecjalizowanej pracy poznawczej, badawczej. Nie słyszałem, niestety, zbyt wielu dyskusji na ten temat, także w naszym środowisku.

PS: *Bardzo dziękujemy za rozmowę.*